

ROZDZIAŁ 1

Szczyt Mount Everest

10 maja 1996 roku

8848 metrów n.p.m.

Wydawało się niemalże, że wokół najwyższych partii tych wspaniałych szczytów wyrysowano granicę, której nie może przekroczyć żaden człowiek. Prawda kryje się naturalnie w fakcie, że na wysokości ponad 7600 metrów n.p.m. wpływ niskiego ciśnienia atmosferycznego na ludzkie ciało jest tak drastyczny, że wspinaczka wysokogórska o wysokim stopniu trudności staje się niemożliwa, konsekwencje nawet łagodnego załamania pogody mogą być śmiertelne, znikoma szansa sukcesu istnieje tylko przy idealnych warunkach atmosferycznych i śniegowych, a na ostatnim etapie wspinaczki zespół himalaistów może jedynie czekać na właściwy dzień. (...)

Nie, nie jest niczym nadzwyczajnym, że Everest nie ustąpił przed kilkoma pierwszymi próbami. Tak naprawdę byłoby niesłychanie zaskakujące i nawet nieco smutne, gdyby się ugiął, gdyż nie leży to w zwyczaju najwspanialszych szczytów. Być może staliśmy się nieco aroganccy, dysponując naszą nową, wyrafinowaną techniką pokonywania lodowych ścian w czasach łatwych mechanicznych podbojów. Zapomnieliśmy, że góra nadal dzierży wszystkie atuty i ofiaruje nam zwycięstwo jedynie w wybranym przez siebie momencie. Z jakiego to innego powodu wspinaczka wysokogórska zachowywałaby wciąż swój niezwykły urok?

ERIC SHIPTON, 1938
Upon That Mountain



Stojąc na wierzchołku świata, jedną nogą w Chinach, a drugą w Nepalu, oczyściłem z lodu moją maskę tlenową, skuliłem ramiona pod naporem wiatru i spojrzałem nieobecny wzrokiem na Tybet, rozciągający się w nieskończoność u moich stóp. Miałem niewyraźne poczucie, że rozciąca się przede mną oszałamiający widok, ale w gruncie rzeczy było mi to obojętne. Przez wiele miesięcy wyobrażałem sobie ten moment i wybuch emocji, który miał mu towarzyszyć. Teraz jednak, kiedy wreszcie tu dotarłem, kiedy rzeczywiście stanąłem na szczycie Everestu, nie byłem w stanie wykrzesać z siebie tyle energii, by w ogóle mnie to obchodziło.

Było wczesne popołudnie 10 maja 1996 roku. Nie spałem od pięćdziesięciu siedmiu godzin. Jedynym pożywieniem, które byłem w stanie wmusić w siebie w ciągu ostatnich trzech dni, była miska chińskiej zupki z kluskami i garść M&M-sów z orzeszkami ziemnymi. Tygodnie gwałtownego kaszlu spowodowały oddzielenie się dwóch żeber, przez co zwykle oddychanie stało się nie do zniesienia. Na wysokości 8848 metrów n.p.m., w górnych warstwach troposfery, do mojego mózgu docierała tak niewielka ilość tlenu, że pod względem możliwości intelektualnych nie przewyższałem nierozgarniętego dziecka. W tych warunkach odczuwałem jedynie zimno i zmęczenie.

Wspiąłem się na szczyt kilka minut po Anatoliju Bukriewiewie, rosyjskim przewodniku amerykańskiej wyprawy komercyjnej, i tuż przed Andym Harrisem, przewodnikiem zespołu nowozelandzkiego, do którego sam należałem. Bukriewiewa znałem bardzo słabo, za to Harrisa zdążyłem w ciągu ostatnich sześciu tygodni poznać i polubić. Cyknąłem cztery szybkie fotki Harrisa i Bukriewiewa przybierających zwycięskie pozy, a później odwróciłem się i ruszyłem w dół. Mój zegarek wskazywał godzinę 13.17. W sumie nie spędziłem na dachu świata nawet pięciu minut.

Chwilę później zatrzymałem się na krótko, by zrobić z góry zdjęcie grani południowo-wschodniej, którą wiodła trasa naszej wspinaczki. Ustawiając ostrość na parze wspinaczy, zauważyłem coś, co do tej pory umykało mojej uwadze. Na południu, gdzie jeszcze godzinę wcześniej niebo było nieskalanie czyste, teraz warstwa chmur skrywała Pumori, Ama Dablam i inne niższe szczyty otaczające Everest.

Później – gdy znalezione zostanie sześć ciał, gdy poszukiwania dwóch kolejnych zostaną przerwane, gdy chirurdzy amputują ogarniętą gangreną prawą rękę członka mojego zespołu Becka Weathersa – ludzie będą się zastanawiać, dlaczego znajdujący się pod szczytem wspinacze nie dostrzegli symptomów pogarszającej się pogody. Dlaczego wytrawni himalajscy przewodnicy parli w górę,

pędząc stado stosunkowo niedoświadczonych amatorów – z których każdy zapłacił 65 000 dolarów, by zostać bezpiecznie zabranym na Everest – w kierunku czegoś, co w oczywisty sposób było śmiertelną pułapką?

Nikt nie może zabrać głosu w imieniu liderów dwóch zespołów uwikłanych w te wydarzenia – obaj nie żyją. Ale mogę poświadczyć, że nic, co widziałem wczesnym popołudniem 10 maja, nie wskazywało na zbliżanie się morderczego załamania pogody. W moim niedotlenionym umyśle chmury płynące w górę wielkiej doliny lodowcowej znanej jako Kocioł Zachodni* wyglądały jak zwiewne i nieszkodliwe obłoczki. Pobłyskując w oślepiającym południowym słońcu, wydawały się nie różnić od powstających na konwekcyjnych prądach wstępujących nieszkodliwych kłębow pary wodnej, które unosiły się z doliny prawie każdego popołudnia.

Rozpoczynając zejście, byłem w najwyższym stopniu zaniepokojony, ale mój niepokój niewiele miał wspólnego z pogodą. Po sprawdzeniu wskaźnika poziomu tlenu uświadomiłem sobie nagle, że moja butla jest prawie pusta. Musiałem dostać się na dół, i to szybko.

Najwyższy odcinek grani południowo-wschodniej Everestu jest wąskim, mocno nadwieszonym gzymsem zbudowanym ze skał i wysmaganego wiatrem śniegu, który wije się przez czterysta metrów pomiędzy szczytem głównym a podrzędnym szczytem znanym jako Wierzchołek Południowy. Pokonanie ponacinanej grani technicznie nie przedstawia wielkiej trudności, ale droga ta jest potwornie odsłonięta. Po opuszczeniu szczytu piętnaście minut ostrożnego przesuwania się na skraju wysokiej na ponad dwa tysiące metrów przepaści doprowadziło mnie do oslawionego Uskoku Hillary'ego, miejsca, w którym grań gwałtownie się obniża, wymagającego pewnych technicznych manewrów. Kiedy wpiąłem się w poręczówkę i, przygotowując się do zjazdu, wyrząłem poza krawędź uskoku, ujrzałem niepokojący widok.

Dziewięć metrów niżej kilkunastu ludzi stało w kolejce u podstawy uskoku. Trzech wspinaczy podciągało się już na linie, po której zamierzałem się opuścić. Nie mając innego wyjścia, wpiąłem się ze wspólnej poręczówki i odsunąłem się na bok.

Zator tworzyli członkowie trzech wypraw: zespołu, do którego należałem, czyli grupy płacących klientów pod przewodnictwem słynnego nowozelandzkiego

* Nazwę *Western Cwm* nadał tej formacji George Leigh Mallory, który w trakcie pierwszej wyprawy na Mount Everest w 1921 roku zobaczył ją jako pierwszy z Lho La, wysokiej przełęczy na granicy Tybetu i Nepalu. *Cwm* jest walijskim określeniem doliny lub cyrku.

przewodnika Roba Halla; ekipy prowadzonej przez Amerykanina Scotta Fischera i niekomercyjnej wyprawy tajwańskiej. Poruszając się w ślimaczym tempie, naturalnym powyżej 8000 metrów n.p.m., jedna osoba po drugiej mozolnie pięły się w górę uskoku, a ja nerwowo odliczałem swój czas.

Wkrótce doszłusował Harris, który zszedł ze szczytu niedługo po mnie. Chcąc zachować pozostałą w mojej butli resztkę tlenu, poprosiłem go, by sięgnął do mojego plecaka i zakręcił zawór regulatora, co zrobił. Przez następnych dziesięć minut czułem się zaskakująco dobrze. Zacząłem jaśniej myśleć i tak naprawdę czułem się mniej zmęczony niż wówczas, gdy gaz był odkręcony. I nagle, gwałtownie, zacząłem się dusić. Zobaczyłem mroczki przed oczami i poczułem zawroty głowy. Byłem na krawędzi utraty przytomności.

Otępiały z niedotlenienia Harris zamiast odciąć mi dopływ tlenu przez pomylkę odkręcił zawór do końca, opróżniając całkowicie mój zbiornik. Właśnie roztrwonilem resztki życiodajnego gazu. Na Wierzchołku Południowym, osiemdziesiąt metrów niżej, czekał na mnie kolejny zbiornik. Aby jednak tam się dostać, musiałem zejść po najbardziej odsłoniętym fragmencie całej drogi, nie korzystając z dobrodziejstwa dodatkowego tlenu.

Wcześniej musiałem jednak poczekać, aż tłum się przeredzi. Zdjąłem w tym momencie beużyteczną maskę, wbilem czekan w zamarznięte zbocze góry i przycupnąłem na grani. Wymieniałem banalne powinszowania z mijającymi mnie wspinaczami, a w głębi duszy ogarniało mnie szaleństwo: „Pospieszcie się, pospieszcie się! – błagałem cicho. – Wy się tu pieprzycie, a ja tracę miliony komórek nerwowych!”

Większość mijającego mnie tłumy należała do grupy Fischera, ale pod koniec tego korowodu pojawiło się wreszcie dwóch członków mojego zespołu, Rob Hall i Yasuko Namba. Powściągliwa i zdystansowana 47-letnia Namba była o czterdzieści minut od zostania najstarszą kobietą, która wspięła się na Mount Everest, i drugą Japonką, która zdobyła najwyższe szczyty na siedmiu kontynentach, tzw. Koronę Ziemi. Ważyła zaledwie czterdzieści kilogramów, ale jej drobna postura kryła budzącą respekt determinację. Yasuko pięła się w górę w niewiarygodnym stopniu wyłącznie dzięki niezachwianej sile swojego pragnienia.

Jeszcze później na szczyt uskoku dotarł Doug Hansen, kolejny członek naszej ekspedycji. Doug był pracownikiem poczty z przedmieść Seattle, który podczas tej wyprawy stał się moim najbliższym przyjacielem. „Sukces masz już w kieszeni!” – zawołałem, starając się przekrzyczeć wiatr i próbując zaabrmieć bardziej optymistycznie niż naprawdę się czułem. Wyczerpany Doug wymamrotał spoza

swojej maski tlenowej coś, czego nie rozumiałem, słabo odwzajemnił mój uścisk dłoni i powlókł się dalej.

Na samym końcu kolejki szedł Scott Fischer, którego przypadkowo poznałem w Seattle, gdzie obaj mieszkaliśmy. Siła i energia Fischera były legendarne – w 1994 roku wszedł na Everest bez użycia tlenu – byłem więc zaskoczony tym, jak wolno się poruszał i jak skrajne zmęczenie widoczne było na jego twarzy, gdy odciągnął maskę na bok, by się przywitać. „Bruuuuce!” – wyrzęził z wymuszonym uśmiechem, używając sztubackiego powitania będącego jego znakiem rozpoznawczym. Zapytany, jak się czuje, Fischer odparł zdecydowanie, że całkiem dobrze. „Po prostu jakoś się dziś włokę. Nie ma się czym przejmować”. Kiedy Uskok Hillary’ego w końcu był wolny, wpiąłem się w pomarańczową linę, szybko ominąłem Fischera, który zwałił się bezwładnie na swój czekan, i zjechałem w dół ponad krawędzią.

Udało mi się dotrzeć do Wierzchołka Południowego po godzinie trzeciej. Strzępki mgły przepływały wówczas ponad mierzącym 8516 metrów n.p.m. szczytem Lhotse i spowijały piramidę Everestu. Niebo nie wyglądało już tak łagodnie. Chwyciłem świeżą butlę z tlenem, przykręciłem do mojego regulatora i pospieszyłem w dół w kierunku gromadzących się chmur. Chwilę po tym, jak opuściłem Wierzchołek Południowy, zaczęło delikatnie śnieżyć i widoczność diabli wzięli.

Sto dwadzieścia metrów wyżej, gdzie szczyt wciąż jeszcze był skąpany w jasnym słońcu błyszczącym na nieskazitelnie błękitnym niebie, moi kompani marnowali czas, uwieczniając swoje przybycie na wierzchołek planety. Rozwijając flagi i pstrykając kolejne zdjęcia, trwonili cenne sekundy. Nikt z nich nie wyobrażał sobie nadciągającego koszmaru. Nikt nie podejrzewał, że aż do końca tego długiego dnia będzie się liczyć każda minuta.